**Dodatek do „Prawdy“ Nr. 45.**

# RODZINA

## PISMO POŚWIĘCONE WYCHOWANIU I NAUCE DOMOWEJ.

**Numer 10.** Sobota, dnia 11-go Listopada 1905. **Rok I.**

## CMENTARZ.

I wszędzie ciemno, wszędzie cisza głucha
Dokoła krzyże i drzewa zczerniałe,
Czasem w gęstwinie gdzieś słowik zaśpiewa,
Zaszumią świerki, płaczą brzozy białe,
A w wtór za niemi płaczą wszystkie drzewa
Kroplami rosy, w tej krainie ducha.

Tu pomnik biały z żelaznemi kraty,
Kryje w swem łonie srebrne kute trumny
Ot możnych panów, co niegdyś przed laty
Rządzili krajem, dziś jak te kolumny,
Podcięte zębem czasu leżą w pyle
Tak oni martwi w swej białej mogile.

Tam przy pomniku kurhan usypany
Tym, co zginęli w jednej życia dobie;
Każdy z nich z mieczem krwawym, potem zlany,
Broniąc swych matek na wioskowym progu,
I dziś uśpieni leżą w wspólnym grobie,
Waleczni niechaj spoczywają w Bogu.

Tam znów mogiła z krzyżem pochylonym
Zda się krzyż tuli ją w swoje ramiona,
To jest grób kmiotka, który nad zagonem
Pochylon z pługiem, karmił kraj kochany,
Poszedł szczęśliwy do swej matki łona
Choć szedł przez życie cichy i nieznany.

A tam na prawo w cmentarzyska rogu
Czarna mogiła z omszałym kamieniem,
Zarosła cierniem i krzewami głogu,
Kto przejdzie obok, spojrzy i z westchnieniem
Zrobi znak krzyża i choć w sercu trwoga,
„Przepuść mu Panie“, śle prośbę do Boga.

W tej to mogile w ziemi nieświęconej
Legł samobójca, dawnemi to laty
I gwarzą starzy o mogile onej:
A nawet gwarzą pochylone chaty
I stare dęby i cmentarne krzyże,
Szepcą legendy o nocnym upiorze.

Królewska Huta. *R. Wilkanowicz.*

## POTĘGA MODLITWY

OPOWIEŚĆ Z PRZED LATY.

(Ciąg dalszy.)

Pomyślał, że dziewczynka skończy swą modlitwę kiedyś przecie, odejdzie i czekał. Ona klęczała z załamanemi rękoma, tylko po chwilce opadła, skurczyła się, opuściła ręce, obwinęła chustką, oparła się o mur i zdawała się już dumać, nie modlić.

Wśród dumania wyrywały jej się niezrozumiałe pół słowa, zrozumialsze westchnienia; nareszcie głowa co raz na piersi się pochylać zaczęła, jak gdyby pod ciężarem jakim i dziewczynka widocznie usnęła.

Młody człowiek ujrzał to ze zdumieniem, sądził, że przypadkiem chyba, ze znużenia w takiem miejscu zadrzemać mogła i umyślnie stuknieniem o kamienie ją przebudził. Obejrzała się, westchnęła, podniosła oczy na obraz cudowny i usnęła znowu.

— Miałażby tu noc przepędzić na ulicy? — pomyślał — to niepodobna prawie! Cóżby to znaczyło? Poczekajmy!

I znowu czekał, pochwycony za serce tą postacią tajemniczą.

Czekał długo, czekał niecierpliwie, nic się nie mogąc doczekać, gdyż dziewczynka, w pół siedząc, w pół klęcząc spała. Zegar u Świętego Kazimierza bił pierwszą z północy.

— Pójdę do domu! — rzekł do siebie Edward, takie było imię młodzieńca — to chyba żebraczka!

Już miał odchodzić, kiedy śpiącej kilka słów z ust się wyrwało; zatrzymał się, śpiąca mówiła przez sen:

— Matko Boża, Matko Boża, zlituj się nad sierotą!

Potem znowu:

— Widzisz, żem niewinna! — Umrzeć — umrzeć muszę od głodu!

I jeszcze po chwili:

— Nikt nie przyjął! Matko Boża, biednam ja Julka!

Te słowa z głębi duszy wychodzące, jak echo myśli, które tylko co jeszcze na jawie głowę biednej dziewczyny opasywały, przejęły głęboko Edwarda. On nigdy nie płakał, bo łez się wstydził, jak niemęskiej rzeczy, teraz przecie uczuł łzę na powiece i drżenie serca.

Sięgnął do kieszeni, wyjął co miał pieniędzy i po cichu położył na kolanach dziewczynki.

Co uczyniwszy, przeżegnał się i niepostrzeżenie oddalił.

II.

Nie wiem, co przywiodło nazajutrz Edwarda, syna zamożnego obywatela ziemskiego, na mszę do Ostrej-Bramy — pewnie wczorajszy dobry uczynek, który mu duszę zeschłą odwilżył i zostawił po sobie miłe wspomnienie.

Wczorajsze wieczorne uczucia, których jeszcze nie starł, ocierając się o ludzi, ciągnęły go znowu do miejsca, w którem, po raz pierwszy od dawna ich doznał. Ale toż miejsce, o, jakże teraz było różnem!

Ulica pełna ludu gwarnego; przesuwające się powozy i dorożki, świegotliwe mleczarki, krzykliwe przekupki, fury drzewa, otoczone targującymi, napełniały ulicę. Kilka niebieskich i różowych kapeluszy świeciły pod galeryą, kilka ich kręciło się na górze, kilka płaszczów czerniło się o mur opartych.

A przed ołtarzem, jaśniejącym światłami, odprawiała się msza, której dźwięki tonęły w szumnym gwarze miasta.

Edward nie potrafił się dziś modlić. Szukał tylko okiem miejsca, w którem wczoraj widział śpiącą dziewczynkę.

Było zajęte, klęczała tam kobieta, zdało mu się, że ta sama, ale któż wie?

Skromny był jej ubiór, sukienka ciemna, chusteczka wełniana, fartuszek perkalowy, włosy uczesane gładko.

Modliła się z zapałem, z przejęciem, ze łzami; wzniesione miała oczy, ręce załamane, nie widziała, nie słyszała otaczającego ją świata.

Twarz jej w tej chwili mogłaby malarzowi posłużyć za wzór najlepszego uniesienia religijnego.

Blada, przezroczystej owej bladości, nie nosiła jednak żadnych śladów, które niemoc ciała i choroby zostawiają.

Oczy wielkie, czarne, łzawe, nieruchomie utkwione były w obrazie; usta różowe, w pół otwarte, maleńkie, dziecinne, świeciły ząbkami białemi.

Wyrazu, jaki te rysy ożywiał, opromieniał, opisać niepodobna; nie zmieniał on tyle twarzy, aby je piórem lub pędzlem wyrazić było można, duszą je tylko uczuć i duszą odtworzyć wielki sztukmistrz byłby w stanie.

Wpatrzywszy się w zachwycającą tę postać, Edward kilka razy pomyślał, że to wczorajsza Julka, która spała pod płaszczem Matki Boskiej, ale nie wierzył znowu w domysły, gdy szlachetnym rysom się przyglądał, zdającym się nie zgodzić z życiem tak biednej istoty, którą wyobrażał sobie uwiędłą, podciętą, zgniecioną.

Ale jak wczoraj przytrzymała go niewyraźna w ciemności postać nieszczęśliwej, tak dziś zajęła go, przykuła jaśniejąca modlitwą i zapałem prześliczna twarz nieznajomej. Stał i oczyma wcielał się w jej modlitwę.

I Msza święta się skończyła i wszyscy się rozeszli i zgiełk w ulicy się powiększył, a on jeszcze stał i patrzał, bo ona jeszcze klęczała i modliła się.

Nareszcie powstała, ale nie odeszła, spojrzała na obraz i usiadła na tem miejscu, w którem wczoraj zasnęła.

Edward chciał się doczekać odejścia dziewczynki, chciał się jednak zarazem dowiedzieć coś o niej — napróżno!

Godziny biły, leciały, goniły jedna drugą, musiał nieznajomą porzucić i odejść.

Wrażenia dnia dobrze zatarły w jego umyśle dwa te obrazy; wpleciony w koło towarzyskiego żywota, w którem my wszyscy stękamy, pod młotem rozmów próżnych, powitań, zapytań, interesów, zapomniał na chwilę o Ostrej-Bramie.

Przyjaciele, którzy nigdy nie pojmują różnicy dnia od dnia, zmusili go do wczorajszej wesołości, której po nim pod karą śmieszności wymagali, bo do niej, według nich, był obowiązany.

Edward, nie mogąc się od nich oswobodzić, musiał zdusić w sobie myśli poważne, uczucia delikatniejsze i znowu na świat patrzeć, jak oni szydersko, zimno.

A w duszy jego wielka zaszła odmiana tajemna od wczoraj; spadło w nią nasienie myśli surowszych o świecie, wyobrażeń sprawiedliwszych o ludziach. Edward sam nie

wiedział, czemu to miał przypisać, bo przecie ta tajemnicza postać, nie mówiła kim jest, bo przecie przeszłość jej mogła być niecnotliwą; — a jednak przekonawszy się, że jest w jej sercu prawdziwa wiara, głęboka i nieudana, że dziewczę modli się, poznał Edward, że musi być cnota także.

Teraz, kiedy towarzysze jego szydzili — wedle zwyczaju — i z kobiet i z ich cnót, które tak często będąc tylko pozorem, nieufnym czynią na zawsze — czuł niesmak w ich szyderstwie, jak człowiek, któryby nadto zjadł jakiej potrawy i wstręt ku niej powziął z przesytu.

Prędko z towarzystwa wprzódy lubego oswobodził się udanym bólem głowy Edward i pobiegł do siebie i zamknął się.

Tu tak wiele myśli razem uderzyło mu o piersi, że nie mogąc znieść ich ciężaru, znowu zapotrzebował rozrywki i wyszedł na przechadzkę.

Miasto dręczyło go jak przyjaciele, pospieszył dalej, aby sam na sam tylko zostawszy, odzyskać uspokojenie.

W istocie, w takich chwilach, w których człowieka nawiedza wiara w Boga i wiara w cnoty ludzi, samotność najlepiej do duszy przemawia, ona jest sprzymierzeńcem i pomocnikiem; gdy przeciwnie, w momentach szału, rozpaczy, niedowiarstwa, osamotnienie nie mówi do duszy.

Gdy Edward spojrzał w niebo, czyściejszem odetchnął powietrzem, usłyszał szum drzew, świergot ptaszków, wróciły mu uczucia kołyszące przyjemnie duszę, opadły kajdany, które narzuciło zimne towarzystwo przyjaciół.

Dziwnym sposobem jął myśleć o bladej dziewczynce, a razem o pociechach religii, o szczęściu, jakie daje głęboka wiara.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

## Zdrowie a powietrze.

**Zdrowiem nazywamy stan, w jakim się ciało ludzkie znajduje, gdy nie odczuwa żadnych bolów. To zaś jest tylko wtedy możliwem, gdy wszystkie członki ciała ludzkiego wykonują swe czynności.**

**Byłoby zbytecznem powtarzać znane wszystkim zdanie, że zdrowie jest najdroższym skarbem człowieka. Niestety ludzie dopiero wtedy baczą na prawdziwość tego zdania, gdy zdrowia utracą. Dopóki nie przebyli** jakiej choroby, igrają z tym najdroższym skarbem. Wprawdzie człowiek nie zawsze może prowadzić takie życie, by zdrowia swego nie narażać na rozmaite niebezpieczeństwa a przyczynia się do tego głownie walka o kawałek chleba, ale przecież mogłoby być lepiej. Zależy to przedewszystkiem od naszej dobrej woli.

Najważniejszą rolę odgrywa tu powietrze, bez którego ani chwilki obejść się nie możemy. W powietrzu znajduje się gaz, zwany tlenem. Tlen wchłaniają w siebie płuca nasze i krew i rozprowadzają go po całem ciele.

Powietrze, które wydychamy, posiada już mniej tego tlenu, ale zato zawiera w sobie inny gaz, zwany kwasem węglowym, który jest znów trucizną. Z tego widzimy, że w miejscach zamkniętych, ciasnych, gdzie dużo ludzi dłuższy czas oddycha, powietrze jest duszne, gdyż zawiera w sobie dużo kwasu węglowego.

Czyste, dobre powietrze jest głównym warunkiem zdrowia. Nie należy przeto długo przebywać w miejscach ciasnych, nieprzewietrzanych, gdzie gromadzi się mnóstwo ludzi. Odnosi się to przedewszystkiem do szynków. Mieszkanie własne należy często wietrzyć a najbardziej izbę sypialną. Przewietrzania nie należy także zaniedbywać w zimie, bo palenie w piecach jeszcze bardziej przyczynia się do zatruwania powietrza kwasem węglowym.

Na sypialnię należy przeznaczyć w mieszkaniu izbę najobszerniejszą. Należy raz już zaniechać tego zwyczaju, iż izbę największą przeznacza się na pokój dla przyjęcia gości.

Wietrzenia izb nie należy przeto zaniechać w żadnej porze roku, a najbardziej należy je wietrzyć w zimie. Jest także błędnem, jeśli ktoś sądzi, iż wskutek wietrzenia izb więcej drzewa i węgla zużywa się na opał Przeciwnie, wskutek wietrzenia napływa do izby z rana świeże powietrze i ciąg w piecu jest lepszy. Gdy się okna zamknie, czuć po chwili podczas oddychania zbawienność tego środka. Nie należy zresztą za dużo palić, gdyż gdy w izbie jest za ciepło, człowiek leniwieje, staje się niezdolnym do pracy; zanadto wrażliwym i skłonnym do zaziębienia.

Także i sypiać można przy otwartem oknie. W lecie każdy powinien mieć okna otwarte. Jest to bajką, że powietrze w nocy działa szkodliwie. Należy się tylko wystrzegać przeciągów. Do sypiania przy otwartem oknie w porze zimowej natomiast musi się człowiek dopiero powoli przyzwyczaić. Jeśli

jednak raz się przyzwyczai to może mu to tylko wyjść na zdrowie.

W izbach, gdzie się pierze, suszy i prasuje bieliznę, w izbach świeżo malowanych lub bielonych nie należy sypiać. Często znów w izbach, w których się znajduje dużo robactwa, sypie się różne proszki o bardzo ostrej woni. W takich izbach sypiać nie należy, gdyż proszki te więcej szkodzą człowiekowi, oddychającemu takiem powietrzem, niż robactwu.

Silna woń kwiatów również działa szkodliwie na oddychanie; wiązki i bukiety kwiatów o silnej woni należy zatem na noc wynosić z izby.

## Polka w życiu domowem.

Każdemu niemal mężczyźnie, umiejącemu czuć i myśleć, jest wiadomo, iż dobra żona, wzorowa gospodyni i kochająca matka swe dziatki jest aniołem stróżem strzechy rodzinnej, przynosząca szczęście, spokój i ład w domowem ognisku. To też mężczyzna nie zepsuty do śpiku kości, pod łagodnym i szlachetnym wpływem swej małżonki powoli wyzbywa się wszelkich wad i nałogów, staje się człowiekiem pożytecznym dla rodziny i ogółu.

Kobieta w życiu domowem jeżeli potrafi umiejętnie kierować sprawami swego maleńkiego królestwa, zgotuje raj swemu mężowi, zaskarbi sobie jego prawdziwą i trwałą miłość, wychowa dziatki po bożemu i zasłuży na szacunek ogółu.

Widzimy dziś bowiem, jak jedne stadła są niedobrane, dla których wspólne pożycie staje się istnem piekłem, ciągłą męczarnią; natomiast tuż obok znachodzimy pary małżeńskie, wesołe, szczęśliwe, wiecznie zadowolone ze swego losu. W jednej rodzinie głowa tejże, mąż i ojciec, zarabia mniejszą sumę tygodniowo, niż jego sąsiad, ma więcej osób do wyżywienia, a mimo to widzimy, że w domu tym panuje ład i porządek wzorowy: dziatki czyste i schludnie ubrane, w domu każdy sprzęcik na swojem miejscu, jadło pożywne i zdrowe i na czas zawsze przygotowane; gospodyni domu z uśmiechem wesela wita swego powracającego z pracy małżonka i widać tam obustronne zadowolenie i szczęście.

Są natomiast rodziny, dla których węzły małżeńskie są nieszczęsnym ciężarem. Tak mąż jak i żona chodzą wiecznie skwaszeni, chmurni, jedno do drugiego nie ma słowa miłości, tylko wieczne wyrzuty, wyzwiska lub klątwy. Nawet większy zarobek męża tu nie wystarcza, bo mąż nie mogąc znaleźć szczęścia w domu, idzie go szukać w knajpie i tam troski topi w kieliszku; żona zaś nudząc się sama w domu, zaniedbuje powoli gospodarstwo, dziatki i nawet sama siebie, tak, że dom ten staje się niemiłym nietylko dla swoich, ale nawet i obcych.

Od kobiety więc zależy szczęście, ład i dobrobyt w domu. Polki nasze w życiu domowem winny być uosobnieniem wszelkiego dobra. Przy dobrej i zaradnej małżonce i mąż staje się dobrym, oszczędnym i pracowitym. Nie lenistwo i bezmyślna paplanina małżonki przykuwa męża do domu, ale jej mądre kierowanie gospodarstwem i tkliwe słowa czułości dla tego, który cały dzień strawił w pocie czoła, by zapracować na chleb powszedni dla siebie i rodziny.

## ŻARTY.

### Z czasu manewrów.

Pułkownikowi pożalił się jeden z żołnierzy, że liche dostają jedzenie. Pułkownik sumienny udał się natychmiast w stronę, gdzie gotowano dla wojska. W drodze napotkał żołnierzy, którzy nieśli kocioł na drągu.

— Stać! — rzekł pułkownik.

Żołnierze stanęli natychmiast i kocioł postawili na ziemi.

— Podać mi łyżkę! — mówi dalej pułkownik.

Żołnierze podali.

Kapitan nabrał z kotła płynu, wziął w usta i połknął. Zaraz jednak zaczął pluć a łyżką w gniewie o ziemię rzucił i rzekł:

— Taką zupę dajecie moim żołnierzom?... ja was pozamykam... wy łajdaki!

A na to jeden żołnierz:

— Panie pułkowniku... to nie jest zupa... to są pomyje z naczeń...

## ZAGADKA.

Co to za prządka nad pracą schylona,
Przędzie i przędzie, a nie ma wrzeciona?
A potem w kącie ukrywa się smutna
Ze ze swych nici nie doczeka płótna,
Lecz ktoś jej warsztat zobaczywszy, żywo
Zrzuci na ziemię jej sztuczne przędziwo?

**Rozwiązanie z Nr. 9-go.**

CHRZEST.

Dobrze odgadła: Ludwika Kościelna z Rądziszowa.